

My Krzyżaki!

Zawsze, kiedy wracam z jakiejś podróży do Giżycka, i idę od dworca w kierunku śródmieścia ulicą, która prawie niezauważalnie zmieniła nazwę z Armii Czerwonej na Armię Krajową, mój wzrok zatrzymuje się na jednym z szaro otynkowanych murów, gdzie czyjaś ręka wymazała czarną farbą napis: MY KRZYŻAKI! To buńczuczne, prowokacyjne zawołanie, niczym przewrotna wizytówka rzuconą w twarz przyjezdnym, niewątpliwie nakreśliła młoda ręka. Nieodmiennie każe mi ono cofnąć się trochę lat, kiedy na sąsiedniej ulicy, w ruinach wypalonego domostwa, staczaliśmy dziecięce boje, podzieleni na drużyny Krzyżaków i Polaków. Nierzadko emocje przekraczały wymiar zabawy. Sypały się razy, krwawiły nosy. I zdarzało się, że rzucone w złości: – Ty szkopie! nie trafiło w próżnię. Ktoś odchodził z placu zabawy nagle wystraszony, ucichły.

Moim ucieczkom i powrotom do miasta dzieciństwa towarzyszyły zawsze wyraźne znaki; oczekiwane, rozpoznawane i zawłaszczane jako wyłącznie moje – rozrzucone odłamki moich intymnych związków z miejscem. Rzucający się pod koła pociągu Kanał Niegociński, który w pamięci był zawsze „kanalikiem wilkaskim“, jaśniał rybią i księżycową łuską. Pachniał słodko, kiedy wiatr zawiewał od pobliskiej Wytwórni Pieczywa Cukierniczego. Niegocin, którego srebrzysta tafla rozciągała się nagle niczym znajome podwórze domu. Wzgórze ze stalowym krzyżem św. Brunona, gdzie wysoko ponad rozścielonym u stóp jeziorom płątały mi się niemożliwie religijne ekstazy z palącym pragnieniem jak najszybszego położenia zasłuchanej koleżanki w wysoką trawę. Wiele jest takich miejsc–znaków, które ma w swoim posiadaniu każdy. I pośród nich czuję się jak powracający pielgrzym, za każdym razem bogatszy o kawałek doświadczenia, który z niepokojem przymierza do tych zawartych w sercu odnośników, układając mapę swojego losu.

My Krzyżaki!

BORUSSIA 09 / 1994

Miałem szczęście, jeszcze jako dziecko, zostać zaczarowany. Być może nigdy by się to nie wydarzyło w bezdusznym betonowym bloku. To musiało się zdarzyć w pełnej duchów secesyjnej willi kupca Lehmana, która stała się po prostu „domem“. Domem pełnym gzymsów, po których można się było wspinać, aby podglądać „głupią Walę“. Domem, pełnym tajemnic na przestronnym strychu i piwnicach, z kamiennymi schodkami, na których można było przysiąc w letni wieczór i doprowadzać zmysły do rozdygotania przejmującym zapachem rosnących wzdłuż ulicy lip. Mieszkańcy tego domu rozmawiali twardą, niegramatyczną polszczyzną, często wplatając słowa niemieckie. Albo śpiewną gwarą wileńską. Samotny mężczyzna mieszkający w kawalerce pod ósemką pijany śpiewał po ukraińsku. Na drugi dzień przemykał chyłkiem korytarzem do pracy, z wzrokiem wbitym w podłogę. Ktoś mu w nocy na drzwiach wymalował „tryzuba“.

Nasi rodzice nie ulegali czarom. Wciąż na nowo przeżywali swoje wojenne obsesje. Moi rodzice, którzy nad Niegocinem otrząsali się z pyłu zburzonej Warszawy, uważali się zapewne za coś w rodzaju plemiennej arystokracji pomiędzy autochtonami i przybyszami z Wileńszczyzny. Dostawałem po łapach za „kotuch“, który powinien być śmietnikiem i „messer“, kiedy w używanym przez nas podwórkowym slangu żądałem noża. Dbano też, żebym nie miał „wszy“. „Z Wilna-wszy przyjecha-wszy“ – przedrzeźniała mnie zezłoszczona matka.

Myśmy się oswajali szybciej ze swoją odmiennością. Hans, Wićka, tępawy Misiewicz szybko nauczyli się bez obrazy reagować na ksywki podwórzowe: Hitler, Kozak, Siedź... Byliśmy po dziecięcemu bezwzględni, ale również potrafiliśmy być okrutnie smutni, gdy pustoszała kolejna ławka w klasie lub gdy Kischnerowie spod 10 pakowali swój dobytek. To był nasz świat i obcym nie wolno było się wtrącać do naszych Niemców. Nowi sąsiedzi długo pozostawali poza nawiasem. Byli obcy i mieliśmy im za złe emigrację naszych przyjaciół.

Poza tym było jezioro. Sto metrów w dół ulicy od domu potężna wodna przestrzeń, która fascynowała, kusila, nadawała ton porom roku, naszym zabawom i tęsknotom. Szybko nauczyliśmy się dostrzegać i zaznaczać różnicę pomiędzy tymi, którzy nad „wielką mazurską wodę“ przyjeżdżali latem odpoczywać, a tymi, którzy nad nią żyli cały rok. Potrafiliśmy być o nasze jezioro zazdrośni, ale uwielbialiśmy również demonstrować zachwyconym turystom jego tajemnice, podkreślając w ten przewrotny sposób naszą wyższość. W ten nieświadomy jeszcze i dziecinny sposób zaczęliśmy utożsamiać się z miejscem naszego urodzenia, które dorośli objęli jedynie w posiadanie, jak kolejne miejsce zamieszkania lub ubranie.

Musiało minąć jeszcze trochę lat. Musiało wyemigrować wielu moich przyjaciół. Musiał się pojawić głód wiedzy i prawdy, którego nie ugasił żaden program szkolny. Trzeba było poznać wiele innych miejsc i przeprowadzić wiele rozmów. Trzeba było bardzo pragnąć uciec z prowincjonalnego grajdołka w wielkość świata. Wszystko po to, aby sobie uświadomić, że punkt odniesienia pozostaje ten sam. Że został kiedyś wpisany w krwiobieg. I że trzeba powrócić w to samo miejsce, aby dobrze poznać relacje. Skalę, w której odmierza się własny ruch wobec świata. Wtedy trafiłem na książki Ernsta Wiecherta i zostałem uwiedziony.

„Dzieci Jerominów“ połknąłem w dwie noce i zacząłem czytać jeszcze raz od początku. Wszystko było tak bliskie, chociaż tak dalekie. Inny moment historyczny, inne miejsce, inni ludzie, a jednak ten sam mazurski mroczny klimat, który mi się w dzieciństwie przykleił do serca, niebywałe podobieństwo doświadczeń i odczuć, które się potrafią wylęgnać w tym krajobrazie. Także pragnienie, prawdopodobnie nieziszczalne, powrotu do prostych ewangelicznych prawd podszytych pierwotną pogańską spuścizną tej ziemi jezior i lasów.

Wiechert pomógł mi jasno uświadomić sobie i zrozumieć tę część mnie, którą raz na zawsze określiło dzieciństwo, a która później zostaje jedynie obudowywana, niczym macicą perłową ziarnko piasku, wiedzą, doświadczeniem, i tym, co się wymyka pojęciu –

My Krzyżaki!

BORUSSIA 09 / 1994

uczuciami. Pomógł mi dopasować całą gamę moich czułych znaków do chropawych ścian świata. Odnaleźć „kwiaty, promień słońca i cień na ziemi“. Również czasem pomyśleć o sobie z ciepłą ironią: Ty niepoprawny, cholerny Krzyżaku...

Wojciech Marek Darski